

Mateusz CIEŚLIK



beyA.

Śledztwo
w sprawie
Nadzwyczajnej

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Opieka redakcyjna: Barbara Lepionka

Redakcja: Natalia Kostka

Korekta: Sylwia Zazulak

Ilustracje na okładce, wyklejce i wewnątrz książki wykorzystano za zgodą Shutterstock.

ISBN: 978-83-289-1341-7

Copyright © Mateusz Cieślík 2025

Printed in Poland.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

32 230 98 63

e-mail: kontakt@beya.pl

WWW: <https://beya.pl>

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<http://beya.pl/user/opinie/sledzw>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

Drogie Czytelniczki, drodzy Czytelnicy!

W trosce o Was informujemy, że w książce pojawiają się wątki takie jak przemoc, agresja, utrata bliskiej osoby, pozbawianie życia, które mogą być nieodpowiednie dla osób wrażliwych bądź tych, które przeżyły traumę. Zalecamy ostrożność przy lekturze.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność



ROZDZIAŁ I

Wszystko ma swoją cenę

Coś ją zbudziło, coś kazało jej wstać. Przetarła zaspane powieki i zmierzyła wzrokiem pokój. Na ponurą ścianę kamienicy, przepełnioną obrazami najznamienitszych członków jej rodu, wylewała się kaskada księżycowego światła.

Była pierwsza, może druga w nocy.

Niestety ona nie mogła się wspomóc zegarem, ten dawno przestał działać, nie naprawiała go, przecież nie była zegarmistrzem. Jej ojcu też się nie paliło, żeby cokolwiek z tym zrobić, a przecież przykład idzie z góry. Zawsze.

Przez chwilę tak dumiała na krawędzi łóżka, wpatrując się w coraz to bardziej honorowych członków rodziny. Tu dziadek o porożach ogromnych, które, podobno, były największe w całym Krakowie. Tak wówczas mówiono, a po jego śmierci nikt już o nich nie pamiętał. Tam wujek w eleganckiej marynarce i z kaszkietem na głowie łypał na nią borsuczym okiem, jakby coś przeszkrobała. Wzdrygnęła się, mało nie spadła z łóżka.

Ciotka wpatrująca się w nią z obrazu była bardziej ponura, usta miała wygięte w podkowę. Na żywo cały czas zrzędziła, więc przynajmniej na obrazie na chwilę zamykała jadaczkę.

Pokój był niewielkich rozmiarów, a walające się wszędzie meble jeszcze optycznie pomniejszały jego gabaryty.

Wtem dotarło do niej, co wyrwało ją ze snu. Trzask. Głuchy trzask doszedł z parteru. Później szmery, jakieś nowe, inne, nie takie, które dochodziły od strony starych rur. Kamienica była wiekowa, wydawała z siebie całą symfonię przerażających odgłosów, zwłaszcza w nocy. Ale nie, to nie było to. Ten dźwięk był inny, całkowicie nowy. Dziewczynka doskonale zdawała sobie z tego sprawę, toteż nic dziwnego, że poczuła srogi dreszcz na plecach.

– Mamo – szepnęła odruchowo.

Nie było najmniejszej szansy, by matka usłyszała jej jęk, śpiąc smacznie dwa pokoje dalej.

Może to jedynie szczury harcowały na parterze, a może w kuchni? Posiadłość była okazała, to w końcu majątek rodziny Bonarów, jednej z najbogatszych i najstarszych rodzin w Krakowie. A może to Antonina rozbijała się po nocy? Przemiła gospodyni o srebrzystym upierzeniu na twarzy.

A może to wuj András, pijaczyna, pewnie wrócił z jakiegoś spędu jego koła malarzy i fotografów? Grupy, która zrzeszała najznamienitsze grono wszelkiej maści miłośników sztuki. Zwłaszcza sztuki zakrapianej...

Wzięła głęboki wdech, ten z kolei miał dodać jej otuchy. Niestety nic z tego – czuła jeszcze większe przerażenie. Przecież dziś stryj András, który tak naprawdę stryjem nie był, ale z jakiegoś powodu tak utarło się na niego mówić, nie poszedł na spotkanie, gospodyni wyjechała do rodziny, a szczury? Ze szczurami już dawno rozprawił się dziadek Kazimierz, który podobno przeprowadził

z gryzoniami nie małą dysputę. Ponoć przegadał całe stado, miałł jęzorem, aż w końcu przekonał bodaj największego z nich, że tu nie ich miejsce i że powinny się wynieść z włości państwa Bonarów.

Nic innego nie przychodziło jej do głowy.

Zerwała się z łóżka, zapaliła świecę, musiała jakoś dodać sobie otuchy. Nie pomogło, więc ją zgasła. Nie chciała zwracać na siebie nadto uwagi. Płomień tańczący na knocie z pewnością wywoływał poświatę falującą pod drzwiami jej pokoju i ktoś z korytarza by przyuważył, to jasne.

Znów trzask i cichy jęk. No pewnie! Przecież to babka, babka Orchidea Bonar. Kochana osóbką, istic wspaniały anim. Nieco zrzędliva i zaborcza, ale nie jak ta druga, jędza z obrazu. Orchidea lubiła w nocy podjadać i nie ma co jej winić, bo kto by nie lubił? Pewnie myszkowała teraz w kuchni i wybierała najlepsze przysmaki pozostawione przez Antoninę tuż przed wyjazdem.

Przylapanie jej na gorącym uczynku byłoby nie lada gratką.

Dziewczynka mogłaby nazajutrz podczas rodzinnego obiadu opowiedzieć o tym, co się stało. Wszyscy z pewnością zataczaliby się ze śmiechu. Może nie ze śmiechu, bo na ogół każdy patrzył na czubek własnego nosa, ale mogło to być coś, co choć na chwilę stałoby się spoiwem rodzinnym i zwróciłoby na nią uwagę.

Zsunęła się zwinnie z łóżka, klapki, narzutka na plecy, by nie było jej zimno, na korytarzu zawsze zawiewało głowę, mimo że miała na niej sierść. Kocie uszy na głowie były niewielkich rozmiarów i nie rzucały się w oczy.

Uchyliła po cichu drzwi, bo nie chciała wywołać tego charakterystycznego zgrzytu, który może i jej nie przeszkadzał, ale za to matkę doprowadzał do szału. Stryj András miał je naoliwić kiedyś, kiedy będzie miał chwilę. Zawsze kończyło się tak, że *naoliwiał* jedynie samego siebie.

Znów cichy jęk, teraz była już pewna, że to babka Orchidea. Teraz to dopiero będzie się działo.

Wyślizgnęła się z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Nie chciała wzbudzać niczych podejrzeń, a przecież jej brat mógł wyjść w nocy do toalety, zdarzało mu się, choć raczej od wielkiego dzwonu. Klapki szurały nieprzyjemnie, więc musiała się ich pozbyć. Babka może nie była najmłodsza, ale miała sokoli wzrok, słuch też niczego sobie. Mogła w łatwy sposób zdemaskować zamiary młodej Bonarówny, jeśli ta tylko popełniłaby jakiś mały, niewybaczalny błąd.

Pierwsze kilka stopni dziewczynka pokonała całkiem sprawnie, potem skradała się już niczym złodziej. Korytarz – drewniany, zimny, surowy – nie miał okiennic. Było ciemno. Właściwie przemierzała schody po omacku pchana wiarą, że co to będzie za heca, jak ujrzy wytłuszczony borsuczy jęzor babki.

Dopiero u podnóża schodów jej źrenice zmniejszyły się pod wpływem światła wylewającego się z okna w salonie. Do kuchni już pozostały zaledwie dwa kroki. Bonarówna parsknęła cicho, czuła się niezwykle rozbawiona tą sytuacją. Dobry powód, by postawić na swoim, a przecież babka Orchidea zawsze powtarzała, żeby nie podjadać w nocy. To teraz będzie miała za swoje. Łatwo jej utrże nosa, gdy się okaże, że sama nie potrafiła przestrzegać swoich zasad.

Tak. Była tam, siedziała obok blatu skąpana w księżycowym świetle, w jedwabistej piżamie, bogatej, takiej co ród Bonarów nie mógłby się powstydić.

Na palcach podbiegła do babki, wbiła jej palec wskazujący w biodro, nienachalnie, delikatnie, jednak ta się nie odwróciła, nawet nie drgnęła.

– Babciu Orchideo – szepnęła młoda Bonarówna.

Pomyślała sobie, że tego już za wiele. Starsza kobieta nawet nie raczyła się odwrócić. Co też ona sobie myślała?!

– No, no, mam cię! – krzyknęła dziewczyna, najwyraźniej sądząc, że każdy jej wybaczy nocną pobudkę, jak tylko się dowie, co odkryła.

Znów cisza.

– Tak chcesz pogrywać? – zaśmiała się ponownie.

Obeszła ją i... zamarła. Orchidea faktycznie miała cały pyszczek w tłuszczu, ale jej spojrzenie było martwe, a gałki niemal wyskakiwały z orbit. Jej głowa leżała bezwładnie na blacie. Pustym spojrzeniem pozbawionym życia przewiercała dziewczynkę na wylot. Bonarówna niepewnie zrobiła dwa kroki w tył. Pisnęła, gdy dotarło do niej, że babcia jest martwa i zimna jak lód. Łzy mimowolnie pojawiły się w jej oczach. Wpatrywała się w kęs, który utknął babce między zębami.

Prawdziwe przerażenie, takie mrozące krew w żyłach, pojawiło się dopiero wtedy, gdy do jej uszu dobiegł gruby głos mężczyzny.

– Saro!

Kos uchyliła powieki. Była zdeorientowana, środek nocy z pewnością nie był jej ulubioną porą. Ciche pomrukiwanie Arona śpiącego obok jedynie potęgowało uczucie dyskomfortu, że to może nie być najlepszy pomysł, by opuszczać ciepłe granice nagrzanego pościeli. Zwłaszcza że zima się jeszcze nie skończyła, mimo iż pierwsze przebieśnięgi pojawiały się tu i ówdzie.

Mimo licznych apeli, które Sara skrzętnie wygłaszała, by Petroniusz ruszył swoje wybitne cztery litery i poradził coś na nieszczelne okna w kamienicy i wątpliwej jakości system ogrzewania, wszyscy zazwyczaj mieli je gdzieś, a Weroniczema bardziej obchodziło, by nie przypalić sobie piór podczas kolejnego zaciągania się ze swojej drewnianej fajki. A reszta? Nie miała dla niego znaczenia, bo zupełnie już postradał zmysły.

– Saro, obudz się! – Rozległo znów się na korytarzu.

Dopiero teraz dotarło do niej, co tak właściwie było przyczyną jej nocnej pobudki. Uniosła głowę i dostrzegła kogoś, kto nawoływał wciśnięty między framugę drzwi.

– Ciszej – syknęła Sara. – Nie obudz Arona, on ostatnio kiepsko sypia... Coś się stało? Zaraz podejdę.

Dopiero teraz, gdy usiadła na skraju łóżka, ręką odgarnęła swoje białe włosy z czoła, spostrzegła, że w drzwiach stoi, a raczej pochyla się, Felicja Biel. Aż dziw, że nie od razu rozpoznała jej ciepłą, przyjazną barwę głosu. Jej mózg o tej godzinie musiał nie pracować na najwyższych obrotach.

– Zaczęło się! – jęknęła Felicja, głos jej zadrżał.

Sara skrzywiła się, spojrzała jeszcze raz na śpiącego Arona, który miał tak spokojny wyraz twarzy, że nie miała serca go budzić.

– Ale co się zaczęło? Felicjo, jest środek nocy, błagam, mów do mnie po polsku – wybąkała.

– No, Petra!

– Co: Petra?!

– Zaczęło się!

Sara natychmiast, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zerwała się z łóżka. Spodnie założyła tak szybko, jakby przeniknęły jej przez skórę, a nie było to sprawką żadnych dyskryptów. Włosy związała w kok już w biegu.

Zatrzymała się przed drzwiami.

– Sara? – zapytał cicho zachrypłym głosem Aron, którego obudzili nocne dyskusje. – Wszystko OK?

Mógł dostrzec jedynie zarysy jej sylwetki.

– Aron! Wstawaj! – Sara niemal krzyknęła. – Zaczęło się!

W obliczu tej sytuacji zapomniała o wcześniejszej prośbie, by nie budzić Wysockiego.

– Lecę na górę! – powiedziała Felicja.
– Coś potrzeba?!
– Weźcie koce! Ja polecę po miskę wody!
– Co się zaczęło?! – burknął Aron, wyciągając się ponad grube warstwy pościeli. – Ktoś mi coś...

– Petra – odparła Sara, co natychmiast wywabiło Wysockiego z łóżka.

– Leć już! – odparł. – Zaraz będę!
– Dobra! Weź koce!
– Wezmę!

Wybiegła z pokoju, minęła anima o niedźwiedziej głowie, który zapalką o długości dłoni zapalał lampy, aż pod sufitem zaczęło kołtować się ptactwo. Zupełnie nie było to w smak nietoperzowi, który wisiał pod framugą drzwi do toalety.

Po korytarzu przetoczyły się szepty.

– Nie, zgaś – powiedziała Sara.
– Co? Niby dlaczego? – prychnął mężczyzna.
– Pobudzisz wszystkich, niech śpią. Nie potrzeba nam tłumów, a już na pewno nie Petrze.

Posłuchał jej, choć jego mina wyraźnie wskazywała na to, że nie w smak mu były jej sugestie. Od korytarza lekko ciągnęło, bo jego szlafrok w pieski falował na wietrze. Chcąc zobrazować swoje niezadowolenie, odsłonił kły i lekko zawarczał. Sara zacisnęła szczękę i zrobiła to samo, po czym się zaśmiała.

Nie miała czasu na nocne pogawędki, minęła go i pobiegła na schody, na których wylegiwał się potężny dog niemiecki.

– No już – szepnęła. – Śpij, ale, cholera, zrób mi miejsce, przesun te wielgachne łapy, Fred, no rusz się, muszę przejść.

Fred jednak nie był najwyraźniej na tyle ustępliwy, co mężczyzna zapalający lampy, bo jedynie zaskamlał i spojrzał na Sarę ze współczuciem. Chyba miał w głębokim poważaniu jej prośbę, a na

schodach ułożył już się tak wygodnie, że nie miał najmniejszego zamiaru się ruszyć.

– Na miłość Petroniusza, Amadeuszu Feli, czy mógłbyś łaskawie ruszyć tyłek i wziąć stąd tego psa?!

Zza drzwi na korytarzu zaczęły wyłaniać się zwierzęce twarze. Donośne ujadanie psiny musiało wybudzać mieszkańców ze snu.

Jakimś cudem – bo w normalnych warunkach nie byłoby to możliwe – przeskoczyła bydlę jednym susem, choć znów bez pomocy dyskryptu. Spojrzała na nie wymownie i pokręciła głową, jakby chciała wyrazić swoją dezaprobatę. Fred jedynie spojrzał jej w oczy i prychnął, dając tym jasno do zrozumienia, że mu wszystko jedno, dopóki nikt nie każe mu się ruszać.

Na trzecim piętrze wpadła na Amadeusza, który najwyraźniej usłyszał jej głos.

– Ile razy ci mówiłam? – zachnęła Sara.

– Że co, madame Kos?

– Żebyś nie zostawiał na środku schodów swojego psa.

– Swojego? Madame Kos, proszę mi wybaczyć uwagę, ale nie mówi się *czyjegoś* psa. To tak samo, jakbym powiedział o tobie, madame Kos, że jesteś moim człowiekiem. Czyż to nie obraźliwe?

– Zjeżdżaj.

– A gdzie tak pędzisz, madame Kos, na drugim piętrze też są toalety.

Pokręciła wymownie głową. Jakże Amadeusz Feli ją wpieniał!

Wparowała na kolejne schody, spostrzegła Felicję, która taszczyła wiadro pełne wody. Sara włożyła do niej palec.

– Lodowata! Lepiej...

– Wiem – odparła pospiesznie Felicja. – Podgrzeję dyskryptem, nie ma teraz czasu. Masz koce?!

– Aron zaraz z nimi będzie.

– A jakąś szmatę? Czystą, musi być czysta jak łąza.

– Nie mówiłaś nic o szmacie. Dobra, ogarnie się. Wrócę do pokoju.

Pomóc ci to zanieść?

Zza rogu wyłonił się Gilbert Grot.

– Ja pomogę – oznajmił i złapał za lewe ucho wiadra. – Wszystko OK?! – zapytał, lustrując Sarę wzrokiem.

Z jego zajętych oczu zawsze patrzyło dobrze, nawet gdy nie działał się dobrze.

– Gilbercie, Petra – przekazała Sara.

– To dziś?! Trzeba pomóc?

– Tak, pilnuj schodów. Petra na pewno by nie chciała, by cały tłum ją teraz oglądał.

– Tak, wiem – uciął. – Załatwione.

Sara odwróciła się na pięcie, a następnie puściła korytarzem. Znów schodami w dół. Znów Fred. Potknęła się. „Feli, ja cię zabiję...”. Fred jedynie mlasnął cicho, chyba nie zrobiło to na nim wrażenia.

Wpadła na Arona.

– I co?! – zawołał, bo się nie zatrzymała.

– Zapomniałam szmatki. Przyniosę szmaty. Leć już na górę!

– Gdzie Petra?!

– W pokoju Weroniczema.

I wpadła do swojego pokoju. Rozchyliła mosiężne drzwi dębowej szafy i dobyła ze środka to, czego potrzebowała.

W mig znalazła się na czwartym piętrze w gabinecie akademika i dysząc ciężko, zamoczyła szmaty w wiadrze, obok którego Felicja kreśliła dyskrypt. Woda zaczęła parować.

– A gdzie Petroniusz?! – przejęła się Sara.

– Schował się – burknęła pretensjonalnym tonem Nita Pilarz.

Protektorka Magnusa Popiela jako jedyna zachowała spokój.

– Jak to: schował się?
– No tak to. Gdy zobaczył Petrę, nastroszył pióra i się schował.
– Gdzie? Co ty mówisz, Nito?
– W szafie. O co ci chodzi, co? Jeśli mi nie wierzysz, to zobacz, kretynka jedna.

– No już, weź się nie wyrażaj przy Petrze.
– Przepraszam – mruknęła, ale bardziej na siłę.
Sara wzięła głęboki wdech, by się uspokoić. Mogłaby nawet teraz ugryźć, gdyby tylko ktoś się zbliżył.

– Czyli nie żartujesz.
– Tak to już jest – burknęła Nita. – Wszyscy mężczyźni są tacy sami. Chowają się po szafach, gdy przychodzi co do czego.

– Prawda... – zawtórowała Felicja.
– Dzięki – szepnął Aron, który rozkładał na podłodze koce. – To wcale nie było chamskie. Wrzucać do jednego wora wszystkich facetów.

– Ech, Aronku – wypowiedziała melancholijnym głosem Nita.
– Ty jesteś jeszcze chłopcem.

Spojrzał na nią wymownie, ale nie poświęcił jej więcej uwagi niż spływającej po oknie kropli deszczu.

Petra siedziała na sofie, oddychała ciężko, z jej owczych oczu z łatwością można było wyczytać przerażenie. Sara dostrzegła tę obawę i spojrzała na Felicję.

– Skoro nie ma Petroniusza, to kto, do cholery, odbierze poród?!

Bonarówna wystrzeliła jak z procy. Wbiegła na schody, nie miała najmniejszego zamiaru spojrzeć za siebie. Obrazy martwej babki przeskakiwały w jej głowie niczym w kalejdoskopie. Nie, nie, nie. To nie mogła być prawda. Wpadła na klamkę i z hukiem uderzyła

w posadzkę. Była w swoim pokoju. Sowa siedząca na drążku obok obrazu jej szanownego pradziada, Wiktora Bonara, zahuczała złowieszczo.

Dziewczyna wstała, otrzepała ubranie. Drzwi zamknęła już chyba resztkami sił, bo serce pompowało jej krew z niewyobrażalną dotąd intensywnością. Łóżko, a zaraz potem gruba pościel. Zakopała się w odmętach tkaniny, jak tylko mogła, i wysunęła jedynie pyszczek, by cokolwiek dostrzec. Ręce jej dygotały, sprawiając w lekkie drgania całe ciało.

Teraz... oddech, chwila spokoju. Wmawiała sobie, że to nie wydarzyło się naprawdę, że to tylko ułuda. Jakiś niebotyczny sen zmorzył ją tego wieczoru. To przez to! Tak, to jedynie halucynacje! Jak mogła być tak naiwna? Babka Orchidea pewnie stoi tam cały czas i zajada się, jakby jutra miało nie być.

Znów szmer, ktoś szedł po schodach. Sowa ponownie dała o sobie znać donośnym piskiem.

– Ciszej – szepnęła do niej Bonarówna.

Szybko pojęła, że chowanie się w łóżku to nie najlepszy pomysł. Jeśli tylko komuś uda się przekroczyć próg, komuś, dobre sobie, pewnie mordercy, to będzie miał ją jak na widelcu, podaną na tacy. Smacznego, proszę się częstować.

Nie tracąc więc ani chwili dłużej, wyśliznęła się z pościeli i stanęła na równe nogi. Podreptała do drzwi i wyjrzała przez dziurkę od klucza, w której byłaby w stanie zmieścić kciuk. Z nieuwagi zahaczyła łokciem o klamkę, która dźwięcznie dała o sobie znać. Teraz już serce zaczęło walić jej jak młotem.

Postanowiła spojrzeć. Cisza jak makiem zasiał. Na korytarzu nie było żywego ducha, choć może ciemność, która go spowijała, nie pomagała w identyfikacji kogokolwiek.

– Proszę ja, błagam ja, nie róbcie tego – rozległy się jęki stryja Andrása.

Wtedy Bonarówna poczuła, jak całe jej ciało zastyga w bezruchu. Nie miała się gdzie schować, gdzie uciec. Nie wiedziała, czy dalej śni. Wszystko jednak wydawało się tak rzeczywiste.

Pod łóżko? Nie, za oczywiste. Za drzwiami? Tam też mógł ktoś ją dopaść w mgnieniu oka. Ale przecież jest jeszcze ojciec. Tak, on mógłby ją obronić.

I usłyszała huk. Zbliżyła się do dziurki od klucza i znów patrzyła na korytarz. Ktoś ciągnął bezwładne ciało jej ojca po schodach. Nienaturalne zachowanie szyi pana Bonara i rąbanie głową o każdy stopień musiało oznaczać, że anim od jakiegoś czasu jest już martwy.

Bonarówka zatkała usta. Czuła, że zalewa ją fala gorąca. Nie potrafiła się powstrzymać od łez. Chciała wrzeszczeć, a łzy spływały jej po krótko przyszytych, jasnej sierści, a następnie po palcach.

Ktoś, kto ciągnął jej ojca za nogę, zatrzymał się. Musiał usłyszeć to ciche pochlipywanie. Stał teraz metr przed drzwiami. Dostrzegła jego ubłocone buty i szerokie spodnie. Na butach zauważyła ciężkie, metalowe klamry, które uderzały rytmicznie przy każdym, nawet najmniejszym ruchu. Ktoś, kto się musi skradać, nie zakłada takiego obuwia. To raczej nie skrytobójca, a bezwzględny morderca.

Nieznajomy chwycił za klamkę.

– No, już, zejdźcie mi z drogi!

W drzwiach stanęła pani Brzoska i wyglądała biały fartuch, który założyła.

– Co tak długo? – zawołała Sara.

– Co tak długo?! Zważaj na słowa, moja panno, „co tak długo”, „co tak długo”, będzie mi dokazywać, smarkula jedna.

W kąciку ust Sary zatlił się uśmiech.

– Petroniusz miał odbierać poród, ale się schował. Ponoć, przygotuj się, w szafie...

Pani Brzoska przetarła długie, mysie wąsy i założyła chustę na czoło.

– Wcale mnie to nie dziwi, dziecko, wcale mnie to nie dziwi. Oni wszyscy tacy, a jak przyjdzie co do czego, to uciekają w podskokach.

Wysocki przewrócił oczami, chyba nie miał siły na swoje: „Ja tu jestem”.

– A mój, myślisz, to co?! – ciągnęła. – Jak przybiegła do nas Felicja, żeby nas pobudzić, mój udawał, że śpi. Myślał, że się dzięki temu wywinie... Stary dureń.

– I co, wywinął się? – zarechotała Nita, siadając na parapecie, najwyraźniej w przeświadczeniu, że zrobiła już wszystko, co miała, i teraz ma wolne.

Pan Brzoska wbiegł do gabinetu zdyszany i z ręcznikami na rękach.

– Takie?! – krzyknął.

– Ciszej – zrugęła go pani Brzoska. – Nie widzisz, że Petra cierpi.

– Nie j-j-j-est źle... – wyjąkała Petra, wznosząc kciuk.

Nagle poczuli silny swąd dymu tytoniowego.

– No nie... – warknęła Sara.

Po czym wszyscy spostrzegli niewielką ilość dymu ulatującego przez wszystkie możliwe szpary w szafie.

– On żartuje, prawda? – wycodziła przez zęby Sara, patrząc na ciotkę. – Petroniusz się zgrywa, tak?

Pani Brzoska zrobiła kwaśną minę i uciszyła Sarę.

– Dziecko, to jednak akademik, to nie wypada... Tak mówić nie wypada.

– Ale, ciociu, zamknął się w szafie i pali. Przecież Petrze może przeszkadzać dym. Nic go nie usprawiedliwia!

– Kochanie, to jednak akademik, to jednak akademik – powtarzała pod nosem i pomogła Petrze wygodnie ułożyć się na podłodze.

– Coś jeszcze? – zapytał Aron.

– Więcej świec, paniczku Wysocki – bąknęła niemal żołnierskim tonem.

Skinął głową i pognął do drzwi.

– Pomogę ci, Aron, pomogę – szepnął pan Brzoska, biorąc głębokie wdechy i klepiąc chłopaka po plecach.

Jego żona puściła to mimo uszu, a jedynie sugestywnie pokręciła głową.

– No już, zaraz zaczynamy – powiedziała po chwili do Petry.
– Jak się czujesz?

Brzemienna kiwała głową, starała się wyrównać oddech.

– Co z niego za autorytet – powiedziała Sara, gdy uklękła przy ciotce. – Serio, i on chce, żeby go tytułowano... – Wskazała palcem na szafę.

– No już, Saro, uspokój się. Nie pamiętasz wszystkiego, co dla ciebie zrobił? Akademicy tacy są. Ale złego słowa na nich nie wypada, nie wypada. Oni za inteligentni na takie proste rzeczy, kochanie. Dajże mu już spokój.

I Sara spojrzała ponownie na szafę. Tym razem Weroniczem musiał zakopcić jak lokomotywa, bo dym ulatniał się nawet z niewielkiej dziurki od klucza. Dziewczyna widziała skrawek jego białej togi przytrzaśnięty prawym skrzydłem drzwiczek szafy. Wszystko wskazywało na to, że schował się pospiesznie.

Aron wrócił ze skrzynią pełną świec. Zaczął je równomiernie rozkładać po pokoju. Nita chodziła za nim i podpalała ich knoty ruchem dłoni.

– Żadnych dyskryptów! – zrugła ją pani Brzoska.

– Pff – prychnęła Nita. – A to niby dlaczego?

– Przy narodzinach nigdy dyskryptów się nie używa! Mogą zaszkodzić niemowlęciu! Matka mi tak zawsze powtarzała i swojego się będę trzymać. Żadnych dyskryptów!

Sara odetchnęła z ulgą, że nie widziała, jak Felicja podgrzewała wodę.

Wielki, barczysty Magnus Popiel stanął w drzwiach.

– Słyszałem, że to już – powiedział.

– Wspaniale – oburzyła się pani Brzoska. – Niech tu się zleci cała kamienica! Czy ktoś pilnuje tych przeklętych drzwi?!

– No zleci, jak miniemam, Buldogłowy wszystkich budzi, wszystkim kazał wstać – tłumaczył Magnus.

– Niech ja go tylko dorwę w swoje ręce... – Petra w tym czasie ściągnęła brwi i nadymała policzki. Oddech jej przyspieszył. – Już czas, Petro, już czas...

To był koniec. Bonarówna nie miała najmniejszych szans na ratunek. Do łóżka nie zdążyłaby nawet dobiec. Sprawa była przegrana. Teraz nie czuła już nic. Chciała tylko płakać, wydierać się wniebogłosy, ale milczała, zakrywając dłonią usta, by dać sobie szansę. Może zawróci, może morderca się cofnie.

Wtem na korytarzu coś zadudniło. Nieznajomy się odwrócił. Tak, cień szansy pojawił się na horyzoncie. Dziewczynka mogła przeżyć, choć nie od razu to pojęła, bo przed oczami miała wciąż obraz wykrzywionej na wszystkie strony szyi ojca.

Straciła równowagę, po czym upadła na plecy. Na klęczkach doczłapała do łóżka. Złapała za framugę, podciągnęła się i podbiegła do okna, wyjrzała za nie, by skalkulować swoje szanse. Było za wysoko, nie wyskoczy, nie ma jak. Poza tym mama, brat, przecież oni jeszcze... oni mogli... może mogłaby im pomóc.

Drzwi uchylily się, a przed jej oczami znów pojawiły się mroczki. Płytki oddech dał o sobie znać sekundę później.

– Mamo – szepnęła Bonarówna, wpatrując się w zapłakane oczy kobiety.

– Olimpio! – odezwała się kobieta. – Słuchaj mnie uważnie!

– Kto to? – dopytywała przerażona.

– Nie wiem, zresztą to teraz nieważne!

Chwyciła córkę za rękę i pociągnęła za sobą, stanęły przed jednym z obrazów, widniała na nim prababka Olimpii, kobieta za życia niezamężna, bardzo zaborcza i nieszczęśliwa, teraz mogła uratować swoją siostrzenicę. Matka przesunęła obraz, uchylając niewielką wnękę.

– Chodź! Schowaj się tutaj. I masz być cicho! Nie wolno ci nawet pisnąć!

– Ja? Mamo, chodź ze mną. Co z Brunonem, co z resztą?!

– Nie zmieszczę się! Olimpio, słuchaj uważnie, masz być teraz cicho!

– Ale zmieścimy się razem, zobacz! Jest na tyle miejsca!

– Nie będę się powtarzała!

Z korytarza dochodził stukot ciężkich butów.

– Kocham cię, musisz tu poczekać, aż przyjdzie ktoś z urzędu, a potem... Potem powiedz o wszystkim Petroniuszowi!

– Komu?!

– Petroniuszowi Weroniczemowi, on ci pomoże! On cię ochroni!

- A co z tobą, mamó?!
- Nie ma czasu, zamykam! Nie bój się.
- Nie boję.
- Wiem.

Kobieta ze łzami w oczach po raz ostatni spojrzała na córkę i zasunęła ramę, prababka z obrazu nos miała spuszczonej na kwintę, chyba i po śmierci nie w smak jej były takie ekscesy.

Wtem drzwi do pokoju się otworzyły.

– A gdzie on jest?! – ryknęła Petra. – Gdzie Roch?! Miał być tu, miał tu przy mnie, do cholery jasnej, być! „Nie przegapię porodu dziecka, nie przegapię”, tak, akurat!

Pani Brzoska spojrzała wymownie na Sarę. Ta w odpowiedzi skinęła głową.

– Pójdę – szepnęła.

Felicja trzymała Petrę za rękę, więc najwyraźniej była niezbędna. Aron odwał brudną robotę, a Nita asystowała. Tylko Sara mogła pójść.

Na korytarzu wpadła na Gustawa Dębickiego, który mruknął basowo. Mężczyzna ciągnął za sobą drewnianą kołyskę.

– Co to jest? – spytała Sara.

Gustaw, naturalnie, nie mógł jej wytłumaczyć, mimo iż był w posiadaniu tak dużego zasobu słów, by argumentacją przekonać ją, że to dobry pomysł. Co mu jednak pozostało? Jedyne wzruszył ramionami.

Na szczęście z cienia wyłonił się Magnus i marszcząc brwi, włączył się do dyskusji.

- Co się dzieje, moi drodzy?
- Co to jest, Magnusie? – zapytała prosto z mostu.

– Kołyska... dla dziecka, rzecz jasna.

Wyraz jego twarzy wyraźniej wskazywał, że jest z siebie dumny. W końcu majsterkowicz był z niego całkiem, całkiem, a dziecku na pewno się przyda taki prezent.

– Ale ono się jeszcze nie urodziło, Magnusie, na miłość Petroniusza, zabieraj to teraz! Nie przeszkadzajcie Petrze!

Położyli po sobie uszy, ale po chwili skwitowali całość głupimi minami i się wycofali.

Sara zaczępiła Grota u podnóża schodów.

– Co jest, Gilbertcie, miałeř tu nikogo nie wpuszczać!

– No, ale oni mieli kołyskę, to myślałem, że dla dziecka będzie jak znalazł...

Sara z braku czasu i najwyraźniej również ochoty nie ciągnęła tej dyskusji dłużej.

– Widziałeř Rocha?

– Chyba szedł z Buldogłowym do piwnicy, jak mniemam...

Wyraz twarzy Sary wyrażał więcej niż tysiąc słów. Wściekła, wyczerpana i niewyspana pobiegła do piwnicy.

Zza okazańych rozmiarów drzwi dochodziły ciche pomruki i pokasływania.

– To twój wielki dzień, ja ci mówię, urodzi się całe i zdrowe!

– Zdrowie dziecka!

Sara wparowała do środka, jakby napędzał ją jakiś demon. Spojrzała na Buldogłowego i Rocha siedzących na środku biura przy tablicy korkowej i jej oczy zapłonęły żywym ogniem wściekłości. Mężczyźni raczyli się wysokoprocentowym trunkiem.

– Sara, ludzka ich mać! – zaskandował naczelnik Buldogłowy. – Chodź do nas, opowiadaj.

– To już? Już po wszystkim? Mogę już przyjść? – dopytywał mąż Petry.

Nie czekała ani chwili. Nie wypowiedziała nawet słowa. Z całej siły chwyciła krowie ucho Rocha i wytarmosiła go za nie na czwarte piętro.

– Jest i nasza zguba... – odparła z przekąsem pani Brzoska, gdy pojawili się w drzwiach.

– Zgodnie z umową dostarczony w jednym kawałku – oświadczyła Sara, wepchnęła Rocha do gabinetu i ukloniła się z gracją.

Wtem w pomieszczeniu rozległo się głośnie wycie. Niemowlecy płacz zadudnił wszyskim w uszach. Petra wzdychała ciężko, po czym rozpląkała się ze szczęścia.

– To już koniec, kochanie, już po wszystkim – wygłosiła pani Brzoska do kobiety, ale w taki sposób, jakby mówiła do wszystkich.

Ulga, ogromna ulga – to właśnie odczuli wszyscy zaangażowani, którzy od godziny biegali po budynku, znosząc przeróżne rzeczy, odsyłając przeróżnych mieszkańców i pomagając Petrze.

Sara usiadła na sofie, przetarła zmęczoną twarz. Spojrzała na Arona, uśmiechnęła się słabo. Ostatnimi czasy oboje nie spali za dobrze, a przymusowa pobudka w nocy jeszcze spotęgowała uczucie zmęczenia.

Po chwili spojrzeli na rozpląkaną Petrę trzymającą na rękach coś, co przypominało niewielkiego człowieczka z owczą głową. Przyznali zgodnie w duchu, że nie był to najpiękniejszy widok, jaki można w życiu zobaczyć.

– I co? – zagaiła Sarę Felicja. – Chciałabyś?

– Ale co?

– No takie. – Wskazała ruchem głowy na Petrę, acz nienachalnie, by nikt nie zauważył.

Sara parsknęła śmiechem.

– Daj spokój.

Uśmiechnęły się i zaśmiały cicho.

– Czasami cieszę się, że jestem człowiekiem... – szepnęła Sara.

– Co nie? – przytaknęła Felicja.

– Osiemnaście miesięcy, wyobrażasz to sobie? Przez osiemnaście miesięcy być w ciąży. To prawie dwa lata. Cięża animów to jakiś zaszary koszmar.

– Racja. A mnie się wydawało, że dziewięć miesięcy to już długo. Fakt, że ich cięża może się przedłużyć do takiego czasu, jeśli tylko malcowi się nie spieszy, trochę mnie przeraża...

Pani Brzoska wstała i przetarła dłonie.

– No, no, moi drodzy. Petra na pewno chce teraz wypocząć. Dziękuję wszystkim za pomoc i...

– To ja dziękuję – przerwała Petra szeptem. – Przekażcie pozostałym, że wszystko jest w porządku i dobrej nocy – ciągnęła.

– Ciociu – zapytała Sara po chwili, gdy w pokoju opustoszało. – Pomóc ci sprzątać?

– Nie, dziecko, dziękuję.

– Zostaw to, niech Petroniusz sam to sobie posprząta. A właśnie, trzeba mu dać znać, że już po...

Ale szafa była już pusta, jej drzwiczki jedynie delikatnie poruszały się, jakby miały kogoś ukołysać do snu.

– Musiał się zwinąć, gdy nikt nie patrzył – mruknęła Sara.

– Idziesz? – zagaił Aron, czekając przy drzwiach. – Czy jeszcze zostajesz?

Kos spojrzała ostatni raz na dziecko, niewielkich rozmiarów kruszynę, która brała swoje pierwsze hausty powietrza w płuca. Następnie zerknęła na świeżo upieczonych rodziców i uśmiechnęła się. Na samym końcu potaknęła Aronowi i podniosła się z ziemi wolno, niedbale, jakby miała na karku co najmniej dwa razy więcej lat niż w rzeczywistości.

Podpity Roch upadł na kolana i wziął na ręce dziecko. Teraz już płakał razem z niemowlakiem. Dwa pokolenia beks. Kołysał je i delikatnie przytulał. Nowe życie.

Olimpia nigdy wcześniej nie znalazła się w takim potrzasku, w sytuacji tak patowej. Ze wszystkich sił zatkała sobie usta. Była tak zdenerwowana, że mimowolnie wydawała z siebie ciche pomruki i jęki.

Była skulona w ciasnej skrytce, do której nie dochodziło żadne światło. Dźwięki z zewnątrz zdawały się przytłumione, basowe. Naprędce przykleiła ucho do wewnętrznej części obrazu. Nasłuchiwała. Usłyszała krzyk, to na pewno był krzyk matki, choć tak niewyraźny, jakby znajdowała się daleko od niej. Przeszło jej nawet przez myśl, by się uwolnić, rzucić mordercy do gardła, pomóc matce, ale wszelkie próby wyszukania jakiegoś zatrasku, przełącznika czy czegokolwiek, czym dałoby się przesunąć obraz, kończyły się fiaskiem. Wyglądało na to, że skrytkę dało się otworzyć jedynie z zewnątrz.

Przysunęła kolana i załkała cicho. Nic jej nie groziło. Skrytka była tak wygłuszona, że napastnik nie miał szans czegokolwiek usłyszeć. Wyglądało na to, że Olimpia mogłaby nawet kopać, wrzeszczeć i gryźć, a gruba, betonowa ściana tak czy inaczej skrzętnie by maskowała wszelkie hałasy.

Bonarówna nie potrzebowała wsparcia ani słów. Doskonale wiedziała, co się wydarzyło. Doskonale zdawała sobie sprawę, że jej mama – podobnie jak cała rodzina – została bestialsko zamordowana. Życie bezpowrotnie uleciało ze znamienitych członków rodziny Bonarów, skazując zrozpaczoną Olimpię na wrzask własnych myśli.



Dzieje, Antoni Bryłka, fragmenty książki.

Koronacja Bolesława Chrobrego na pierwszego króla Polski nie odbyła się bez komplikacji. Niech państwo sobie wyobrażą: jest kwiecień 1025 roku, na terenach słowiańskich dominem jest Jerzy Chmiel, silna osobowość, ktoś, kto potrafi zadbać o sprawy swoich, w tym przypadku o sprawy animów. Objeżdża społeczności, przewodzi niczym dobry ojciec, wspomaga odgradzanie starego świata od szybko rozwijającego się i rozrastającego w zastraszającym tempie świata ludzi. Gasi konflikty, by nie doprowadzono do wojen.

Wielu chciałoby go widzieć na tronie, jednak 18 kwietnia w Gnieźnie dochodzi do koronacji Bolesława Chrobrego na pierwszego króla Polski. Dochodzi do zamieszek w społeczności animów, chcą widzieć swojego Jerzego Chmiela u władzy. Nie mają jednak na co liczyć, nie dość, że ukrywają się przed światem i większość nie wie o ich istnieniu, to w dodatku przewaga ludzi jest zatrważająca.

Jerzy Chmiel bierze los społeczności w swoje ręce i udaje się na wizytację do króla. Prosi o namiestnictwo nad częścią terenów Europy, by stały się domem i schronieniem dla społeczności animów. I tutaj kończą się dzieje Jerzego Chmiela. Nie otrzymał ziemi, nie otrzymał poparcia, najprawdopodobniej trafił do lochu, gdzie zmarł wskutek licznych obrażeń.

Pojmanie Jerzego Chmiela odbiło się szerokim echem i doprowadziło do zamieszek, jednak nie na tak szeroką skalę, by udokumentowali to średniowieczni skrybowie. Opłakiwano swojego domina. Jedna maksyma powtarzała się przez kolejne stulecia: „Nie zapomnimy”.





ROZDZIAŁ II

Posiadłość Bonarów

Sara spoglądała za szybę. Nie mogła wyjść ze zdumienia, jak paskudny nastał poranek. Wiatr wzmógł się nad Krakowem i świszczał między domami, uniemożliwiając spokojny sen. Zegar wybił godzinę poranną, ale noc jakby jeszcze nie odpuszczała. Marzec był tak szary, że Sara nie mogła przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz i czy kiedykolwiek wcześniej było tak nieznośnie.

Stała w mrozie, pocierała dłonie o czarny materiał żakietu, który, jak niezmiennie powtarzała Felicja, pasował jak ulał. Wiedziała, że głupio zrobiła, nie zabierając ze sobą rękawiczek. Nie pomyślała, że będzie jej zimno, nie miała czasu, poranna kawa była ważniejsza, żeby się nieco pobudzić przed wyjazdem. Przyglądała się mżawce i szarości, która zdawała się okryć swym płaszczem całą posiadłość.

Zaczęła tupać w miejscu, by się nieco ogrzać. Czekanie na Arona to coś, co zdążyła znienawidzić, zwłaszcza w ostatnim czasie, gdy coraz częściej padało z jego ust: „Zaraz wracam”. Te krótkie, niepozorne i niewinne dwa słowa doprowadzały ją do szału.

Z kaŹdą kolejną minutą robiło się jařniej, z kaŹdą kolejną chwilą sporych rozmiarów domiszczę zrzucało z siebie kolejne warstwy mroku, odsłaniało kolejne ściany, wieŹyczki i kolumny. Wielkie podwórze, na którym z pewnořcią można by urzĄdzić wesele na kilkaset osób, przykrywała jeszcze poranna mgiełka unosząca się ledwo ponad glebą, jakby małe duszki spacerowały po trawniku.

Wřędzie kręcili się urzędnicy, których czarne, sztywne muszki wyglądały jakby przymarzły im do szyi.

– A kuku! – krzyknęła Nita tuŹ nad uchem Sary.

Kos się skrzywiła. Zupełnie nie miała ochoty na żarty, na pewno nie przed tym, co miała zaraz zobaczyć.

– A gdzie twój ksiąŹę z bajki? – ciągnęła, a z jej twarzy nie znikał sztuczny uřmiech.

– Ty tak na serio?

– Ale co?

– Naprawdę masz nastrój?

Nieprzespana noc dała Sarze solidnie w kość, a to, co wydarzyło się w posiadłości, w którą się bacznie wpatrywały, jeszcze dolewało oliwy do ognia.

– A co, mam zrędzić jak ty? – prychnęła Nita.

Wzruszyła ramionami i skwitowała wszystko machnięciem ręki. Po chwili zniknęła Sarze z oczu, uprzednio wypuszczając obłok papierosowego dymu.

– Wszystko OK?

Rozległ się głos Arona. Kos odwróciła głowę, wyglądała jak mokry kot, mimo Źe nie miała na sobie nawet mililitra wody. Czarny żakiet, ładny, elegancki, pasujący niemalŹe do wszystkiego, okazał się dziś kiepskim pomysłem na ujemną temperaturę.

W odpowiedzi skinęła mu głową.

– Gdzie byłeś? – zapytała po chwili.

– Musiałem obgadać coś z Hugonem.

W tym momencie wzrok Sary powędrował na anima stojącego nieopodal. Hugon Rey tym razem nie zaszczylił ich obecnością.

– Rozumiem.

Zawsze starała się zrozumieć.

– Idziemy? – zapytał Aron, obejmując ją ramieniem.

Odpowiedziała mu cisza. Sara nie była zła, nie miała powodów, żeby go karać lub, co gorsza, się na nim wyżywać. Nie mogła mu zabronić kontaktu z własnym patronem, mimo iż ostatnio coraz częściej rozmawiali za jej plecami i chronili przed nią coraz więcej swoich sekretów.

Ruszyli w kierunku domu. Mijając podwórze, przyglądali się przygnębionym minom urzędników. Sara nie wszystkich kojarzyła z widzenia, toteż od razu pomyślała, że musiała tu przybyć również delegacja z innego urzędu.

Afera.

Sprawa musiała być poważna. Nie miała już ku temu najmniejszych wątpliwości.

Wchodząc do domu, minęli fasadę kolumn i dwa lwy zaklęte w kamieniu. Ktoś najwyraźniej cenił sobie prywatność, by już na starcie odstraszać gości rozwartymi paszczami.

Tuż za drzwiami natknęli się na rozkojarzonego Buldogłowego, który szurał głośno nogami i kopcił z fajki jak smok.

– Gdzie macie Grota?! – wrzasnął naczelnik. – Ludzka ich mać.

Sara, niewyspana i na wpół obecna, podskoczyła wyrwana z marzmu. Aron jedynie wzruszył ramionami.

– Myślałem, że już tu jest.

– Myślałem, myślałem! – darł się Buldogłowy. – Kiedy nam tu myślenie zupełnie niepotrzebne! Potrzebny jest Gilbert Grot, bo nie ma nikogo, kto mógłby sprawdzić echo! Przyjdzie koza do woza!

Sytuacja musiała być poważna, że pozwolił sobie na tak obraźliwe przekleństwo.

Prawą ręką wymasował swoje czoło pokryte fałdami. Widać było jak na dłoni, że sytuacja go przerasta i frustruje.

– Jest aż tak źle, naczelniku? – zapytała Sara spokojnie i z wyzcuciem, by go bardziej nie rozjuszyć.

Podeszła i spojrzała w jego wielkie psie ślepia. Pomyślała, że nocne bale w piwnicy mu z pewnością nie pomogły.

– Ach, panno Kos, to była rzeźnia... Aron. – Przeniósł wzrok na Wysockiego. – Jeśli nie chcecie sobie zepsuć dnia, wracajcie do urzędu. Ja już swoje lata na karku mam. Szkoda, żeby takie młode oczy musiały gapić się w takie okropności, ludzka ich mać. Za moich czasów... Kiedyś było inaczej. Zdarzały się zabójstwa, zdarzały się kradzieże, to jasne, ale żeby coś takiego? Żeby przyjść w nocy, wkraść się do domostwa, żeby tak zarżnąć całą rodzinę? Inaczej się tego nazwać nie da. To się w głowie nie mieści, a w mojej to już zwłaszcza. Nie chciałem o tym wspominać, ale to mi przypomina...

Uciął w połowie zdania, by rozpaść kolejną fajkę. Sara wychyliła się, by dostrzec coś na holu, bo naczelnik przysłaniał jej cały widok.

– Co ci przypomina, naczelniku? – zapytała.

– Takie rzeczy wyprawiał tylko Kerekesz... Tylko on był zdolny do takich okropności. I żeby jeszcze dzieci... Dzieci, panno Kos!

Wtedy dziewczyna dostrzegła, jak ręka Buldogłowego dygoce w nienaturalnym uścisku, tak samo jak w dniu, gdy byli w jej domu,

a on barykadował jej przejście do piwnicy, z której po chwili... wyciągnęli jej matkę.

Przełknęła ślinę, jakby przełykała gwóźdź.

– Nie ma czasu – rzekł Aron, chcąc uciąć przydługawe wywody naczelnika. – Robota czeka.

– Wysocki, ty smarku jeden, zawsze miałeś więcej odwagi niż rozumu. Dobrze, idźcie. Roboty jest aż w bród.

Wyłuskał z dna płaszcza wymiętoloną kartkę i oparł ją o ścianę. Pióro pojawiło się w jego prawej ręce, jakby zawsze tam było.

– Macie trochę, ludzka ich mać, atramentu?

Pokręcili głowami.

– Rezydencja jest duża, to mówię od razu. Każdy dostaje kilka pokoi do wywiadu. Pobieźnie zbadaliśmy już wszystkie i od razu mówię, nie wszystkie ofiary są już ściągnięte z góry. Uważajcie, jasne?

Ospale przytaknęli, jakby jeszcze do nich nie docierała makabryczność tej sytuacji.

– Czy to jest jasne, Wysocki?! – warknął gardłowo.

– Jak słońce, naczelniku – odpowiedział Aron, na twarzy którego tlił się słaby uśmiech.

– Proszę bardzo, bierzecie te dwa pokoje na drugim piętrze i ten jeden na trzecim. Przeszukać dokładnie, znaleźć jakieś poszlaki. Na ten moment mamy co najmniej siedem trupów.

Dopiero teraz, skupiwszy wzrok, Sara spostrzegła, że wymiętoszona kartka, którą kurczowo trzymał w ręku Buldogłowy, to prowizoryczna mapa całej posiadłości, najwyraźniej narysowana na kolanie. Chociaż jedno można było z niej wyczytać już na pierwszy rzut oka – dom był kolosalnych rozmiarów, musiał liczyć kilkaset metrów kwadratowych.

Naczelnik podrapał się po skroni.

– Dobra, zejřć mi z oczu, towarzysze.

I powiedział to tak, jakby im groził. Sara spojrzała na Arona pytająco. Ten dał jej znać, również niewerbalnie, że wszystko jest w porządku.

– Co to za miejsce? – zapytała, gdy znaleźli się już kilka metrów za plecami Buldogłowego.

Korytarz był urządony z przepychem. Marmurowe podłogi, ściany okryte drewnem i czymś miękkim niczym dywan. Z obrazów łypali na urzędników animowie. Sufit, z którego zwisały żyrandole wysadzone drogimi kamieniami, szafki niczym obiekty muzealne i dywan sprowadzony chyba z drugiego końca globu. A w rogu zabytkowe wrzeciono, którego nikt nie używał od bardzo dawna. Na wieszaku wisiał kapelusz z wycięciami na uszy tak, by pasował do małej zwierzęcej głowy.

– Niewiele wiem – odparł Aron. – Tylko tyle, że to posiadłość Bonarów. A ich znam tylko z opowiadań. Może z raz któryś z nich był w urzędzie, ale musiałem to przespać, bo nie pamiętam tej sytuacji. Zresztą w urzędzie kręci się dużo osób. Wiem, że to jeden z najbogatszych rodów w Krakowie, chyba nawet w całej Polsce. Bonarowie już od setek lat budują swoją pozycję.

Spojrzał na Sarę. Wyraz jej twarzy zdradzał konsternację.

– Kochanie, wszystko w porządku? Zdaje się, że odpłynęłaś gdzieś myślami.

– Tak, po prostu męczy mnie świadomość...

– Jeśli chcesz, nie musimy...

– Nie. Zostajemy. Musimy zrobić swoje i przekonać się, czy to rzeczywiście był on.

Aron nic jej nie odpowiedział, a po prostu zbliżył się i ją objął.

– Będzie dobrze – powiedział i musnął ją ustami w czubek głowy.

Weszli do przestronnego salonu połączonego z kuchnią. Zimny pot spłynął Sarze po plecach, gdy minęli starszą kobietę ułożoną na drewnianych noszach, której skóra na dłoniach była tak blada, że kobieta musiała już dawno temu wyzionąć ducha.

Nie dostrzegli jednak żadnych śladów krwi czy walki. Salon wyglądał na nienaruszony, jakby ktoś go wypolerował przed ich przyjazdem. Wszystko było na swoim miejscu. Porcelanowe zastawy i drogie ozdoby. Figurki zwierząt wszelkiej maści.

Mordercy najwyraźniej nie szukali błyskotek, nie chcieli rabować.

Aron i Sara wymienili jedynie porozumiewawcze spojrzenia i ruszyli w kierunku schodów. Minęli zapłakaną kobietę, animą o głowie jaszczurki, której łzy spływały po oślizgłych policzkach.

– Ja nie chciała, ja nie wiem, co się stało – szlochała. Magnus Popiel zdawał się wszystko skrupulatnie notować w małym notatniku. – Kiedy ja tu przyszła, już tak było. Przecież ja nic nie zrobiła, wierzy mi pan?

– Wierzę, wierzę, pani Antonino, spokojnie, bo mi się w głowie kręci od tych szlochów. Jeszcze raz, od początku, jak to było? – burknął Magnus.

– No kiedy ja weszła do mieszkania...

Sara nie usłyszała, co stało się po tym, gdy kobieta weszła do mieszkania, bo już postavili stopy na piętrecze. Rozejrzała się dookoła. Pożałowała, że przy wejściu pozbyła się żakietu, gdyż na gorze było sporo chłodniej, jakby zamieszkiwał tam jakiś lodowy potwór.

– Narzuć to na siebie – poradził Aron, gdy usłyszał zgrzytanie zębów partnerki.

Zsunął z siebie kurtkę i okrył Sarę.

– A ty? – zapytała.

– Ciepło mi.

– Akurat. Będziemy się zamieniać.

– A przestań.

Ostatnimi czasy często się kłócili. Początkowo sielankowe i bajeczne dni, w których wylegiwali się w łóżku, chichotali, kochali do nocy i spędzali każdą możliwą sekundę razem, przerodziły się w częste niesnaski, którym towarzyszyły krzyki, głuclie dudnienia w ściany i głoćne trzaskanie drzwiami.

Najczęstszym powodem ich kłótni był patron Arona, Hugon Rey. Mogli wyrzucać sobie godzinami, że Aron znika g dzieć z nim na kilka dni bez wieści. Że wymyka się w nocy bez uprzedzenia. Że Sara jest niewyrozumiałą rozwydrzoną dziewczynką, która nie rozumie, że on ma swoje obowiązki i musi je wypełniać. Że on jest zwykłym dupkiem i ma przed nią tajemnice, a mieli wszystko sobie mówić, mieli być wobec siebie szczerzy.

„Ale zawsze, absolutnie zawsze będziemy mówić sobie prawdę, dobra?”.

„Dobra”.

– To tutaj. – Aron wskazał palcem drzwi pokryte szczegółowym freskiem, które wyglądały bardziej jak dzieło sztuki niż wejście do pokoju. Bardziej teatr niż dom.

Nacićnięcie klamki wywołało jedynie głoćny zgrzyt, który pońiósł się echem po całym holu na drugim piętrze. Zamknięte przejście nie stanowiło dla nich żadnej przeszkody. Sara nakreśliła *Otwieraj, ale nie kradnij*, a zrobiła to tak sprawnie, jakby jedynie kilka razy stuknęła laską o posadzkę. Zamek w drzwiach strzelił.

Weszli do środka. Sarze od razu zakręciło się w głowie. Ciężkie, grube zasłony nie pozwalały, by do pokoju wdarło się coś więcej niż niewielka stróżka światła, w której blasku tliły się kłęby kurzu. Aron podszedł do okna i silnym, zamaszystym ruchem sprawił, że stała się światłość.

Sara od razu dostrzegła kobietę wiszącą pod sufitem. Zgięła kolana. Wzięła kilka głębokich wdechów. Wysocki zakaszał, zasłony musiały być nieruszane od tygodni, bo gdy tylko je dotknął, wokół wzbił się pył.

– Żyjesz? – spytał Sarę.

Wyciągnęła wysoko kciuk w górę. Spojrzała na kobietę, która falowała, jakby lekko smagana wiatrem. Dobrze wiedziała, że trzeba wziąć się w garść. Nie po raz pierwszy musiała mierzyć się z takimi obrazami i trzeba było w końcu przywyknąć. W urzędzie nie było innej możliwości.

– Myślisz, że...? – zagaiła.

– Tak – odpowiedział, krztusząc się. – Drzwi były zamknięte od środka, więc myśle, że ona sama...

– Chciała to zrobić po swojemu. Na swoich zasadach.

– Pewnie tak. Trochę niefart, co?

– To znaczy?

– Jeśli drzwi były zamknięte, to mogło oznaczać, że mordercy tu nie weszli. Powiesiłaby się na marne.

– Powiesiłaby się na marne... – powtórzyła cicho Sara, dla której to stwierdzenie wydawało się dziwnie dźwięczne.

– Chociaż może zrobiła to wcześniej. Może po prostu chciała odebrać sobie życie.

– Albo ktoś to upozorował i zamknął drzwi od zewnątrz.

– Albo.

Rozejrzeli się po pokoju. Nie było tam nic, co mogłoby ich w jakiś sposób zaskoczyć. Typowe meble w stylu animów, stare, niektóre nie pachniały najlepiej. Przy jednej ze ścian wałały się farby. Kobieta malowała przepiękne pejzaże, które w lekkim blasku padającego z okien światła wyglądały bajecznie.

Sarze widok ten przypomniał *Gwiaźdźdźistą noc* Vincenta van Gogha, którego replika wisiała w jej domu, w pokoju pana Kosa.

– Ciekawe, dlaczego... – dumiała na gęs.

– Dlaczego co?

– Dlaczego postanowiła to zrobić w sukni ślubnej. – Odwróciła się. – Spójrz, to chyba ona.

Wskazała palcem na obraz, na którym widniała, delikatnie mówiąc, niezbyt zadowolona kobieta.

– Zobacz, i tutaj. I tu też ona.

Śledziła wzrokiem obrazy. Na każdym z nich kobieta była ponura i smutna, jakby szczęście było dla niej pojęciem zasłyszonym jedynie od znajomych, czymś, czego nigdy sama nie doświadczyła.

Do pokoju wbiegł Otto Pełka, przebierał nogami, jakby się palił. Poprawił małe okulary i nastroszył piórka. Gdy spostrzegł, co znajduje się w środku, kłapnął dziobem i zawył niczym mała dziewczynka. Natychmiast odwrócił wzrok i krzyknął:

– Toż to trzeba było mnie ostrzec! Trzeba było zamknąć drzwi, a nie przechadzać się tutaj, jakby to była wystawa! Na miłość Petroniusza! Przecież to trup! Naczelnik Buldogłowy mówił, że wstępnie przeszukano już pokoje! Poza tym trzeba było to zgłosić! Co wy tu jeszcze robicie?!

– Nie drzyj się, Pełka – warknął Aron, który najwyraźniej miał po dziurki w nosie pretensjonalnego tonu biurokraty krakowskiego urzędu. – Dopiero co tu weszliśmy...

– Zgłosić, zgłosić! – krzyknął i wybiegł z pokoju. – Zgłosić czym prędzej!

– A co ty tu w ogóle robisz?! – zawołał za nim. – Przecież rzadko kiedy w ogóle wystawiasz swój dziób poza granice urzędu!

– Petroniusz mi kazał! – odparł z korytarza.

– Dlaczego?

– Mam mu wszystko opisywać i ze wszystkiego robić raporty. Weroniczem chce być na bieżąco, a zapomnienie postępuje... Poza tym sporo wiem o rodzinie Bonarów!

– Skąd?

– Edukuję się, paniczu Wysocki, do stu tysięcy dyskryptów rozpaczy, edukuję się! Mówi to coś paniczowi?

I zawył jak kukułka.

– Dla przykładu, ta dama, która tam wisi, to Brunhilda Bonar, siostra Matyldy Bonar!

Aron z Sarą spojrzeli po sobie porozumiewawczo, po czym wyszli z pokoju, wiedząc, że rozmowa z Ottonem będzie możliwa jedynie na korytarzu. Zamknęli za sobą drzwi, żeby nikt nie musiał oglądać wiszącej panny młodej.

Schodami właśnie wchodził Gustaw Dębicki, którego złoty kolczyk odbił blask światła wpadającego przez duże okno przed schodami.

– Gustaw – zagaił Aron. – Tam jest kobieta. Daj znać Buldogłowemu.

Dębicki skinął głową. Chyba uznał, że to, czy kobieta żyje, to pytanie retoryczne i nie musi go zadawać.

– Co o niej wiesz? – zapytała Sara, miała przejęty wyraz twarzy i opierała się o barierki, jakby obraz dyndającej na sznurku kobiety wciąż tlił się gdzieś w zakamarkach jej głowy.

– O Brunhildzie? – zapiał Pełka.

Skinęli głowami.

– Dama to była, co tu dużo mówić... Niezameężna! Nigdy nie udało jej się znaleźć partnera, a ponoć szukała wytrwale. Bonarowie mówili, że nikt nie mógł z nią wytrzymać dłużej niż miesiąc, toteż każdy związek szybko trafiał szlag. Ona łkała, wiadomo,

wyrzucała sobie, że nikt nie chce z nią być. Potem wpadała w wir przelotnych romansów, zazwyczaj jednonocnych, i znów, gdy znajdowała kogoś na swoim poziomie... – Poprawił okulary, jakby słowo „na poziomie” odnosiło się również bezpośrednio do niego. – Karuzela zaczynała się od początku. Typ artystki, co tu dużo mówić, drodzy państwo. Była kobietą trudną w obyciu, tak bym rzekł. Choć oczywiście to wszystko historie zasłyszane. Czy to fakty? Nie dałbym się za to upierzyć... – Podrapał się po głowie. – W każdym razie zawsze, gdy słyszałem o Brunhildzie Bonar, mówiono, że jest kobietą głęboko pogrążoną w smutku. Podobno miała w życiu wszystko, czego pragnęła, poza jednym.

– Rodziną... – szepnęła Sara, dumając nad słowami Pełki, jakby tylko ona mogła rozumieć ten żal.

– Otóż to, panno Kos, miała wszystko poza rodziną.

Zmarszczył czoło i obruszył się, jakby ktoś go zawołał. Polizał pióro i coś nagryzmoilił w notatniku. Wsadził rękę głęboko do kieszeni i wyciągnął z niej okrągły zegarek zawieszony na długim, pozłacanym łańcuszku.

– Toż to już późna godzina! Nie mogę tu tak z wami stać i gaworzyć do południa! Mam też swoją pracę! – oburzył się, jakby wyświadczał im wielką przysługę, dzieląc się z nimi informacjami. – Miałem pomóc w czymś Małgorzacie! Tak, tak, to jej szukałem. Zagadujecie mnie tylko, państwo Wysoccy!

Zbyt często określano ich tym mianem, a mina chłopaka nie zdradzała tego, jak się z tym czuje.

– To wszystko, co o niej wiesz?! – zawołał Aron.

Otto zatrzymał się na szóstym stopniu, licząc od góry.

– Tak! – wrzasnęła, jakby urzędnik miał niezły tupet, zawracając mu jeszcze głowę. – Chociaż... – Zatrzymał się i uniósł palec. Wyciągnął z kieszeni na piersi, tuż pod czarną muszką, mały kajecik.

Przewertował go jednym tchem i zatrzymał palec na środkowej stronie. – Mam jeszcze ciekawostkę! – dodał.

Sara z Aronem zamienili się w słuch.

– No to dawaj – rzucił Wysocki.

– Brunhilda podobno cały czas chodziła smutna, to żadna nowość, ale gdy malarze, którzy przychodzili regularnie uwieczniać jej podobiznę na obrazach, kazali jej się uśmiechnąć, by wyszła ładnie na obrazie, robiła to.

– Też mi ciekawostka – mruknął Aron i oparł się o swoją łaskę z uchwytym w kształcie popiersia swojego patrona.

Pelka mało co nie wyrwał sobie pióra z głowy.

– To słucha mnie, przepióreczka jedna, czy nie słucha?!

– No słucham, słucham...

– W każdym razie – ciągnął Otto – podobno malowidła wychodziły nawet ładnie, ale uśmiech szybko znikał z obrazów, po prostu.

– Jak to znikał? – zdziwił się Wysocki.

– No znikał, po prostu. Na obrazie była piękna, uśmiechnięta od ucha do ucha Brunhilda, a po jakimś czasie stawała się smutna. Wystarczyło kilka dni, a obraz się zmieniał.

– Kobieta z obrazu? – dopytał Aron.

– Malowidło smutniało? – niedowierzała Sara.

– Tak.

– Co ty pieprzysz, Pelka... – tracił cierpliwość Wysocki.

Otto spojrzał na niego znad okularów i uśmiechnął się chytrze.

– Duży z ciebie niedowiarek, Wysocki, zważywszy na fakt, że wychowałeś się w Urzędzie do Spraw Dziwnych.

I odszedł, a wraz z nim powoli dogasał stukot butów uderzających o drewniane schody. Aron i Sara pozostali tak jeszcze przez chwilę w bezruchu. Wgapiali się w sufit.

– Dałař wczoraj czadu – przerwał w końcu ciszę Aron.

– Tak?

– Pewnie, załatwiłař wszystkie sprawy wzorowo, Petra powinna być ci wdzięczna.

– Ty też dałař radę.

Machnął ręką.

– A gdzie tam, ja tylko zapaliłem świece.

– A co to za przerwa?! – wypaliła Nita, która przechadzała się korytarzem. – Ja mam zapieprz, a widzę, że gołębiczki sobie ćwierkają. Równi i równiejsi, co?

Westchnęli ciężko i posłali Pilarz jedynie chłodne spojrzenia.

– Magnusie, gdzie jesteř?! Gdzie cię wywiało, do diabła... – wyrzuciła jeszcze z siebie Nita i zniknęła w kolejnych drzwiach.

Ruszyli dalej. Kolejne schody i jeszcze zimniej. Wyglądało to tak, jakby wdrapywali się na jakąř mroźną górę, a nie wspinali po piętrach posiadłości Bonarów. Wiatr świszczał między korytarzami i pokojami. Podłoga wydawała z siebie dziwne pomruki, podobnie jak ściany, które skrywały wiele tajemnic. Całość wprowadzała w przygnębiający nastrój.

Minęli kolejnego trupa, który leżał na schodach. Sara odwróciła wzrok, nie miała w tym momencie ochoty, by się hartować. Przyjdzie jeszcze na to pora, powtarzała sobie. Nad ciałem pochylał się jakiś anim, którego Kos kojarzyła jedynie z przelotnych powitań na korytarzu. Przetarł spocone czoło, gdy go mijali. Zdawało się, jakby jego niedźwiedzia głowa osiwiiała na widok tej masakry.

– Macie listę mieszkańców? – zagaił ich. – Ciekaw jestem, który to z nich. Albo Józef, albo Hortensjusz.

– Znałař ich? – zapytał Wysocki.

– Z widzenia. Nie na tyle, bym mógł rozpoznać twarz, ale imiona znałem, babka miała ich drzewo genealogiczne w salonie. Robione

lata temu, więc twarze już się pozmieniały, a zresztą, co ja wam tam będę truł...

Minęli go, a na trzecim piętrze Aron wskazał pokój z lewej i nie tracąc ani chwili dłużej, przekroczyli próg. Drzwi były uchylone. W środku świeciło pustkami. Pomieszczenie było urządzone skromnie, ale z klasą. Nieco ciepła dodawały mu zdjęcia uśmiechniętego anima o porożach wielkich niczym dąb. Na obrazach szczyrzył się zadziornie, poprawiając kaszkiekik, który wylegiwał się na jego głowie. Biła od niego dobroć i pogoda ducha.

Pokój sprawiał wrażenie, jakby nikt w nim nie mieszkał od dobrych paru lat. Wszystko miało swoje miejsce, o łóżko oparto brązową laskę z grawerami, która jasno symbolizowała, iż miało to w jakiś sposób uhonorować zmarłego.

– Nic tu po nas – stwierdził Aron i wyszedł.

Sara jeszcze ostatni raz omiotła wzrokiem pomieszczenie i ruszyła w ślad za swoim partnerem.

Z pobliskich drzwi wybiegł Maksymilian Halaz, jeden z krakowskich urzędników, i przełożył głowę przez barierkę schodów. Zbierało mu się na wymioty. Był błydy jak ściana, a pot spływał mu po czole. Chłopak o włosach czarnych jak smoła i zawadiackim spojrzeniu brał głębokie wdechy. Zawisł na drewnianej belce i odkasznął.

Zaraz za nim z pokoju wybiegł anim o wilczej głowie, kobieta po czterdziestce, i chwyciła go za bark.

– Maks, wszystko OK?

Pokazał jej kciuk w górę, choć Aronowi i Sarze, których spostrzegł po chwili, podarował jedynie smutek i chłód.

– Na waszym miejscu bym tam nie wchodził – westchnął, jego głos był szyderczy.

Małgorzata spojrzała na nich bardziej życzliwie i pokiwała głową.

– Ma rację, nie wchodźcie tam. Wystarczy, że myśmy się już napatrzyli, wystarczy za wszystkich...

– Nie inaczej – uśmiechnął się lekko Maksymilian i splunął w dół.

Chłopak miał na sobie długie, białe podkolanówki i eleganckie spodenki na szelkach. Na głowie zagościła idealnie ulizana fryzura, a buty były tak wypolerowane, że odbijało się od nich światło żyrandola na korytarzu.

– Czyj to pokój? – zapytała Sara, zbliżając się nieznacznie, by kątem oka zajrzeć do środka.

Wilcze oczy Małgorzaty przygasły.

– To pokój chłopca, Saro.



Wieczorne wydanie lokalnych wiadomości małopolskich.

Prezenter: Dziennikarka Aneta Krasinowska łączy się z państwem.

Dziennikarka: Witam państwa bardzo serdecznie.

Prezenter: Aneto, co wydarzyło się w Zakopanem? Jesteś w stanie przybliżyć naszym widzom kilka faktów? Oddaję ci głos.

Dziennikarka: Dziękuję, Robercie, znajdujemy się właśnie nad Morskim Okiem, gdzie doszło do przedziwnej anomalii. Eksperci twierdzą, że mogło to być wydarzenie absolutnie bezprecedensowe, mogące mieć miejsce raz na kilkaset lat. Doszło do tak potężnej zawieruchy, że z ziemi został wyrwany pas drzew. Uwaga, proszę państwa, proszę teraz słuchać uważnie: razem z korzeniami. Drzewa te zdewastowały pokrywę lodową zarówno na jeziorze Morskie Oko, jak i nad wyższym Czarnym Stawem.

Prezenter: Aneto, czy ja się nie przesłyszałem? Doszło do uszkodzenia grubej pokrywy lodowej?

Dziennikarka: Tak, Robercie, słyszysz wyraźnie. A teraz jest ze mną pan Wincenty, który był świadkiem całego zdarzenia. Jego wersja znacznie różni się od tej podawanej przez ekspertów.

Kamera oddala się, w kadrze widzimy starszego mężczyznę.

Świadek: Ahoj!

Dziennikarka: Był tu pan tej feralnej sylwestrowej nocy, prawda?

Świadek: Ja.

Dziennikarka: Tak, pan.

Rozlega się śmiech prezentera Roberta. Żart prezenterki wyraźnie spodobał się prowadzącemu.

Świadek: A juści, ze tak!

Dziennikarka: I co pan widział? A przepraszam, co pan widział?

Ponownie rozlega się śmiech prezentera Roberta.

Świadek: Słysza hałas, ale duje, żem się zeźlił! Myśla sobie, wałą race albo co. Żeby goje nie podpolić! Copke żem założył, wychodza, a tu.

Kobieta przerywa.

Dziennikarka: A tu co? Co pan widział, panie baco?

Świadek: Żodyn ze mnie baca, co też pani godo! A tu takie dziwy! Biegajo ludzie i inne takie!

Dziennikarka: Jakie inne?! (*Pyta z przejęciem*). Proszę kontynuować!

Świadek: Niby cłowiki, ale głowy jak u zwieżów!

Dziennikarka: „Niby ludzie, ale głowa jakby u zwierza”, słyszeli państwo relację świadka zdarzenia. Co też tu się wyprawa w tym Zakopanem, hej! (*Dziennikarka unosi ciupagę, nie kryje rozbańwienia*). Przekazuję głos do studia, z miejsca zdarzenia, Aneta Krasinowska.

W studiu uśmiechnięty prezenter Robert, elegancko ubrany, na jego głowie widnieje idealnie ułożona fryzura.



SPIS TREŚCI

ROZDZIAŁ I	
Wszystko ma swoją cenę	5
ROZDZIAŁ II	
Posiadłość Bonarów	27
ROZDZIAŁ III	
Nieusłyszana	45
ROZDZIAŁ IV	
A to pech	65
ROZDZIAŁ V	
Wskazać winnego	84
ROZDZIAŁ VI	
Olimpia Bonar	99
ROZDZIAŁ VII	
Śladem Andrása Bonara	114
ROZDZIAŁ VIII	
Motel Viktorii	139
ROZDZIAŁ IX	
Droga bez wyjścia	163

ROZDZIAŁ X	
Kroniki rodzinne	174
ROZDZIAŁ XI	
Przesmyk	184
ROZDZIAŁ XII	
Pies na smyczy	205
ROZDZIAŁ XIII	
Obietnica	223
ROZDZIAŁ XIV	
Spadek	241
ROZDZIAŁ XV	
Prawowity właściciel	258
ROZDZIAŁ XVI	
Hugon Rey Drugi	273
ROZDZIAŁ XVII	
Święto Apoloniusza Wesseiego	292
ROZDZIAŁ XVIII	
Coś wisi w powietrzu	313
ROZDZIAŁ XIX	
Tunel	334
ROZDZIAŁ XX	
Niespodzianka	352
ROZDZIAŁ XXI	
Uciekaj	371
ROZDZIAŁ XXII	
Jak odróżnić dobro od zła?	389

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —

- 
1. ZAREJESTRUJ SIĘ
 2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

Źle się dzieje w świecie animów.

W domu państwa Bonarów, przedstawicieli znamienitego krakowskiego rodu, dochodzi do okrutnej zbrodni. Zamordowana zostaje cała rodzina poza małą Olimpią. Jej matka tuż przed śmiercią nakazuje dziewczynce odnaleźć Petroniusza i schronić się pod skrzydłami Urzędu. Tę nadzwyczajną sprawę badają między innymi Sara Kos i Aron Wysocki. Drobiazgowo śledztwo prowadzi w mroki krakowskiego półświatka.

Nie dość, że w świecie animów dochodzi do strasznych wydarzeń, to jeszcze związek Sary i Arona przeżywa kryzys. Dziewczyna uważa, że chłopak zbyt wiele uwagi poświęca swojemu patronowi. Nie jest pewna, czy chce żyć z cieniem Hugona Reya podążającym za nimi krok w krok.

Dlaczego zginęli Bonarowie?

Kto stoi za zbrodnią?

Czy ta nadzwyczajna sprawa ma coś wspólnego z Sarą Kos?

Final serii Urząd do Spraw Dziwnych!

Patroni medialni:



beYA 16+
beya.pl

ebook dostępnym na:
ebookpoint

ISBN 978-83-289-1341-7



cenat: 49,90 zł